

DIABEŁ W OPAŁACH



Anna Kiesewetter

Anna Kieseletter

DIABEŁ W OPAŁACH

© Copyright by
Anna Kiesewetter & e-bookowo
Grafika na okładce: Marek Łukaszewicz
Projekt okładki:
Marek Łukaszewicz

ISBN 978-83-7859-256-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

A może tak zacząć od środka? Nie od początku, nie od końca, jak to zwykle bywa, ale w samym środku opowieści? Zwykle kiedy się zaczyna lato, nadlatują jaskółki. Kot siada na parapecie i patrzy na nie mniej więcej tak, jak ja oglądam telewizję. O ile w niej leci coś wyjątkowo interesującego.

A może tym razem nie zastanawiać się, nie ustalać ram, ale spisywać wszystko, co aktualnie przyjdzie do głowy? Wiem, wiem, to już było. Napisano całe opasłe tomy o akcie tworzenia. Wizualizacja. Interpretacja. Intelktualizacja problemu. Przypomina mi to trochę monolog o stu pięćdziesięciu snopach, jaki napisałam dla pewnego aktora w czasie jednego popołudnia i jednej nocy. Nie romantycznej, broń Boże, choć może takiej by wszyscy oczekiwali. Siedzieliśmy w trójkę przy wielkim stole zasłanym obrusem, nad którym wisiała secesyjna lampa. Piliśmy nie szampana, ale cierpką herbatę plujkę, sypaną i zalewaną, na którą trzeba było czekać całe godziny, żeby opadła na dno. Życie można było stracić czekając, aż te wirujące badyle na tyle nasiąkną, że będzie można pociągnąć pierwszy łyk nie bojąc się, że coś nam się przyklei do podniebienia. Więc tak siedzieliśmy

w trójkę przy tym potwornie drobnomieszczańskim stole i ciągnęliśmy cienką herbatkę, zagryzając ją wyciągniętymi z kąta kanapkami. Oczywiście z żółtym serem, bo żółty ser można było dostać w nieograniczonej ilości, oczywiście bez konkretnej nazwy. Żółty ser o nazwie „żółty ser” produkcji żółtego sera.

Ale ja nie o tym. Usiedliśmy wokół stołu i zastanawialiśmy się, jaki można napisać monolog dla naszego aktora. Aktor łytał spod okularów, to znad szkieł, bo miał luźne oprawki i ciągle zjeżdżały mu na koniec nosa. I wtedy oczami wyobraźni zobaczyłam esencję, co ja mówię, kwintesencję profesorskiego potwora, pochylonego nad katedrą tuż nad głowami przerażonych studentów. Sięgnęłam po słownik wyrazów obcych i zaczęło się: „Jeżeli weźmiemy snopek z dwudziestego siódmego pola i przestawimy na pole sześćdziesiąte trzecie, to a posteriori snopek z sześćdziesiątego trzeciego trzeba będzie umieścić...” Tu daję trzy kropki, albowiem dwaj moi przyjaciele już siedzieli i skrupulatnie spisywali wszystko, co powiedziałam. W tamtych czasach nie byli jednymi, co tak skrupulatnie spisywali, więc się specjalnie nie zdziwiłam. Tak powstał monolog o stu pięćdziesięciu snopkach, który wyciskał łzy z oczu zebranych widzów i to z pewnością nie ze wzruszenia, ani z żalu. Obraz tego aktora, który nieustannie poprawiał okulary zjeżdżające

mu na koniec nosa, zapamiętałam do dziś.

Tak zaczyna się ta straszna i mrożąca krew w żyłach historia i nie będzie to wcale przesadą, jeżeli powiem, że towarzyszyła mi przez całe życie i długo przed tym, zanim zadziwiłam świat swoim pierwszym ukazaniem się publicznym. Tak więc zaczynam nie od początku, ani nie od końca, tylko właśnie w samym środku tej niekończącej się opowieści, bowiem przekonałam się nie raz, że wszystko, cokolwiek powiem, może być użyte przeciwko mnie i to nie jest wcale zapowiedź żadnego kryminału, ani innej powieści detektywistycznej, bo lud nasz wesoły to w sobie ma, że jego poszczególni reprezentanci zupełnie są wyprani z poczucia humoru i po tym można poznać wszystkich, którzy od frontu, bądź kuchennymi drzwiami starają się dopchać do polityki. Tak było zawsze i obawiam się, że jeszcze długo tak będzie, dopóki coś, co wywołuje atak niepohamowanej wesołości, opatrzone odpowiednimi stemplami i podpisami wędrować będzie jako nota dyplomatyczna do kolejnej ambasady. I znów moja wyobraźnia nie daje mi spokoju, bowiem za jej pośrednictwem widzę zdumienie kolejnego MSZ-tu, który taką notę musi przyjąć i opatrzyć odpowiednimi komentarzami.

Jeżeli jeszcze ciągle co biedni urzędnicy siedzą dalej na swoich krzesłach, to tylko dlatego, że jakoś im się

udało podnieść z uprzątniętej, wypranej i wypastowanej podłogi. Nie muszę zresztą dodawać, że oficjalne przeprosiny ukazały się w czasopiśmie określanym jako twór satyryczny nie tylko na naszym rynku. Co zresztą nie zmieniło niczego, bo następny wybuch powszechnej wesołości miał takie same następstwa i tak do dzisiejszego dnia krążą po całym świecie noty dyplomatyczne z przeprosinami, co zajmuje czas politykom i da im dożywotnie zajęcie pewnie do końca świata. A to jest, jakby na to nie spojrzeć, dobre parę miliardów lat.

Kiedy siedzę tu sobie, na samym początku lata, za szybą szybują jaskółki, a kot je ogląda oblizując się nieznacznie, tak sobie myślę, że wszystko, co mi się przydarzyło w życiu, można by sprowadzić do tego monologu o stu pięćdziesięciu snopkach, który wygłaszał aktor, wciąż poprawiając zsuwające się z nosa okulary. I tak właśnie zaczęłam od środka i wcale nie mam zamiaru tej historii mrożącej krew w żyłach opowiadać chronologicznie, żeby ktoś nie pomyślał, że znów mam się z czego tłumaczyć i żeby nie musiała osobiście służyć za następną notę dyplomatyczną, która będzie krążyć i krążyć w całym wszechświecie, bo przecież wiemy, że nie jesteśmy sami i jeśli do nas dołączą politycy z innych części galaktyki, takich not dyplomatycznych może być więcej i więcej, aż nikt nie będzie się już zajmował niczym innym, ustana

wojny, zamrze gospodarka, zaś tylko będą wzrastać ceny papieru, zwyżkując niepomrotnie na każdej takiej międzygalaktycznej giełdzie. I tak to będzie trwało i trwało po wsze czasy, bo trudno się spodziewać, aby w którymś momencie społeczności międzygalaktyczne wreszcie wybrały sobie polityka na tyle obdarzonego poczuciem humoru, aby się przynajmniej zdziwił. Ale że nie grozi nam taki kataklizm ani dziś ani jutro, ani nawet za tysiąc lat, więc spokojnie oglądam wraz z kotem szybujące po niebie jaskółki i chyba to jest zajęcie bardziej absorbujące wyobraźnię i myśli kociego filozofa, niż wysłuchiwanie kolejnego dnia monotonnie powtarzających się wiadomości, które wygłasza spiker z trudem hamując ziewanie. Patrzę na szybę, za którą rozpościera się widnokrąg i w tym momencie wolę muchę rozciapcianą przez mojego kota, której zwłoki prędeż czy później będę musiała usunąć, dając początek tej piekielnie zawile i strasznej opowieści.

Urodziłam się. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. W rodzinie, jakby to powiedzieć, nieco surrealistycznej. Ojciec artysta, mama miała w zwyczaju wyciągać z niebytu niedoszłych nieboszczyków, którzy potem, z czystej niekonsekwencji po prostu dawali się zastrzelić. I siostra, fiżnięta nieco, co to wszystko traktowała akurat

odwrotnie, niż należało. A zatem ponieważ nie wiedziała niczego, twierdziła, że wie wszystko. I to było prawdziwym utrapieniem.

Urodziłam się w rodzinie z dość niezwykłymi tradycjami. Mając zniemczone nazwisko, mieliśmy niezwykle powiązania z Polską, ale pochodzimy z Irlandii, którą opuściliśmy gdzieś między jedenastym a trzynastym wiekiem naszej ery. Dość powiedzieć, że niemieccy naukowcy do dziś zastanawiają się, skąd się to nazwisko wzięło, a nikt z nas nie ma zamiaru ich informować. Po co im psuć zabawę? Niech sobie dalej twierdzą, że jesteśmy niewiadomego pochodzenia. I z naszego powodu urządzają sobie świetną rozrywkę podczas kolejnych sesji naukowych. My też.

Zrodziliśmy się z niebytu na Półwyspie Niedźwiedzim w południowo-zachodniej Irlandii. Niestety z naszej siedziby rodowej pozostała tylko brama z umieszczonym na niej aniołem grającym na irlandzkiej harfie. Legenda głosi, że anioł ten schodzi nocami z bramy i straszy niewinnych ludzi, co, jak wiemy, jest codzienną praktyką wszystkich aniołów.

Tłukliśmy się od samego początku ze wszystkimi. Najpierw obrywali od nas Anglicy, ale i że Herkules dupa, musieliśmy stamtąd nawiewać. I tak tłukliśmy się

w kolejnych wojnach, co zresztą wcale nie przynosiło nam jakiś konkretnych korzyści poza tym, że w naszych genach płynie krew całej zjednoczonej Europy. No tak, nie praliśmy tylko Szwajcarów, choć i co do tego nie mam całkowitej pewności. Ale założmy, że akurat Szwajcarzy nie muszą się nas obawiać. Każda wojna, każde powstanie narodowe kończyło się nieśmiertelną papierową torbą, z czystą parą gaci na zmianę. Tak że za każdym razem musieliśmy wszystko zaczynać od zera, na mnie ta chlubna tradycja miała się skończyć, ale wyszło jak zwykle, o czym w dalszej części mojego opowiadania.

Nie wiem, kiedy dokładnie, ale w pewnym momencie mieliśmy dość tego ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, a azyłu udzieliła nam niebaczna co ich czeka, maleńka i jakże naiwna Saksonia.

Teraz tłukliśmy się oficjalnie to z Prusakami, to ze Szwedami, zresztą za każdym razem z każdym, co nam się nawinał pod rękę. A ponieważ praliśmy raczej wrogów, a nie przyjaciół tego maleńkiego księstwka, każdy przejawiał zadowolenie, że wykonujemy za nich tę najgorszą robotę. Ale mieliśmy to nieszczęście, że z Augustem Mocnym Sasem przyjechaliśmy do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i że nam się tutaj spodobało. Też banda Celtów, tylko my z importu. Parę lat siedzieliśmy spokojnie, nawet udało nam się załapać na niewielki zameczek zwany Olszynką

Grochowską, w której z dumą prowadziliśmy życie spokojne a dostatnie. Aż do czasu, kiedy nam tę upragnioną Ziemię Obiecaną ktoś nie pokroił w charakterze tortu na trzy części. To nas trochę zdenerwowało, a że, jak mówi przysłowie, lepiej się zderzyć z rozpedzoną lokomotywą, niż ze wściekłym Irlandczykiem, natychmiast zaczęliśmy się pracować, a że nie mieliśmy daleko od rodzinnej siedziby do najbliższego pola bitwy, świadczy o tym sama nazwa tego pożałuj Boże mająteczku. Olszynka Grochowska zamieniła się na kupę gruzu, a my znowu wylądowaliśmy z torbą (papierową oczywiście) i parą gaci. I znów musieliśmy nawiewać przed przeważającą siłą, jaką w tym wypadku była Rosja. A że wówczas najmniej pytań zadawali Austriacy, wylądowaliśmy w zaborze austriackim, ale niestety nikt tym razem nie chciał korzystać z naszych skłonności do nieustającej rozróby, tak że zmuszeni byliśmy zacząć pracować.

Oczywiście zajęliśmy się tym, co najbardziej do nas pasowało, to znaczy staliśmy się artystami. Zresztą na miejscu naszego, pożałuj Boże, mająteczku, ktoś nam postawił więzienie, więc w razie czego możemy się starać o prywatną celę, co nas nie bardzo urządza, jako że bywali wśród nas artyści, bywali naukowcy, ale nie znalazł by się nikt z takiego menu. Nie było ani jednego kryminalisty. Zresztą artyści w owym czasie byli już dość podejrzana

profesją, co nam zupełnie wystarczało.

Mój pradziadek, o którym wiem najwięcej, miał tendencję do produkowania zamiast pieniędzy niezliczonej ilości dzieci, tak że nawet mój ojciec mimo usilnych starań nie był w stanie doliczyć się, kto z kim i dlaczego. Jedno charakteryzowało tę tak liczną populację: wszyscy byli rudzi. Co pradziadek zabrał się do roboty, wychodziło mu coś rudego, co nie jest znowu takim ewenementem wśród Irlandczyków. I tak dziadek (też rudy) zajął się pisaniem zabawnych skeczów i złośliwych wierszyków, co miałam okazję przy okazji odkryć.

Cytując dziadka, cała tajna policja Imperium Rosyjskiego wysyłała listy gończe za przestępcami, politycznymi oczywiście, co do których mieli jedynie pewność, że są ryży i

mają szwabskie nazwisko. Ale wobec wprost niezwykłej pracowitości mojego pradziadka, można było znaleźć niejednego osobnika mającego takie cechy. A prababcia, mimo tak licznych zajęć, zdołała dożyć wieku dziewięćdziesięciu jeden lat, po czym spoczęła na Powązkach u boku swojego prawowitego męża, gdzie potem zresztą zawitał mój dziadek, kiedy wreszcie mógł o sobie powiedzieć, że dane mu było choć raz solidnie odpocząć. Na co wcześniej nie mógł sobie pozwolić.